## Ścieżyną drożyną, czyli ahoj! przygodo.

Kiedy tylko na niebie pojawił się bladoróżowy świt, ruszyliśmy wespół w zespół z naszymi przyjaciółmi z Pszczyny i Wierzchosławic na włóczęgę po południowo-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Postanowiliśmy wędrować od nieistniejącej wsi Brzegi Górne aż do grani Połoniny Caryńskiej, by podziwiać widoki na Połoninę Wetlińską i ukraińskie Bieszczady. Nie zważając na kłujące krzewy jeżyn, które otulały wąskie ścieżynki, truchtaliśmy, podziwiając feerię barw kwitnących już łopuchów, chabrów i kąkoli, stada hucułów opędzające się od kąsających gzów. Gdy otulił nas szczelnym pancerzem wszędobylski kurz, szukaliśmy orzeźwienia w strużkach i źródełkach skrzących się pośród krwistoczerwonych kiści jarzębin, buków i kłującej ostrężyny. Zwątpiliśmy, kiedy przyszło nam się zmierzyć z rzęsistym dżdżem, potem z huraganowym wiatrem hulającym nad naszymi głowami okrytymi jedynie wypłowiałymi chustkami w ochronnym kolorze khaki. To nie były hocki-klocki, bo nawet rozwydrzone strzyżyki schroniły się wśród gałęzi przecudnej czeremchy, zniknęły w mig w gąszczu pohukujące harde sowy. Z trudem urządziliśmy w tej zawierusze rozszalałych żywiołów kryjówkę skleconą naprędce z chaszczy i gałęzi drzew, na których widać było jeszcze strzępy połamanych hub. Był to cud-szałas, jakiego nie powstydziłby się nawet najwytrawniejszy obieżyświat ani żaden zuchwały tramp. Spędziliśmy w nim chcąc nie chcąc kilka godzin o głodzie, bo nasz druh przewodnik, ten przebrzydły tchórz, uciekając w popłochu, zgubił przytroczony do plecaka prowiant. A było czego żałować – smażone racuchy z dżemem z róży, kanapki z rzeżuchą i bakłażanem, no i kawa, którą mełła i przyrządzała niezastąpiona wujenka. Gdyby chociaż przeprosił za przymusową głodówkę, ale gdzież tam, hultaj półdrwiąco, spod opuszczonych rzęs spojrzał na nas i orzekł, że nadszedł czas, by pogwarzyć. Początkowo była to taka gadka szmatka, takie baju, baju, ale później to nasze terapeutyczne gadu-gadu było całkiem do rzeczy. Rozmawialiśmy o życiu, książkach, które nas pochłonęły bez reszty, bohaterach ciekawszych niż Sienkiewiczowski Bohun i Azja Tuhajbejowicz. Snuliśmy plany na przyszłość, marzyliśmy o przygodach mrożących krew w żyłach, rejsie po Morzu Żółtym, Wyspach Bahama, wspólnie opływaliśmy jachtem przylądek Horn i przemierzaliśmy na dwugarbnych wielbłądach żółte piaski Sahary. Kiedy się przejaśniło, szast-prast zgarnęliśmy przemoczone plecaki i żwawo wyruszyliśmy w dalszą drogę. Wracaliśmy urzeczeni świeżością powietrza wprost w otwarte na oścież drzwi naszego pensjonatu „Włóczykije”.